



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

ADA NEGRI.

Odblask ideału, noszonego w piersi człowieka, ujawnia się w utworach poetów. Poezja zawiera w sobie skarby, które należą do całej ludzkości, nie przestając przecież być własnością jednostki natchnionej, która je wydała, z głębi swej wydobywszy i jak entuzysta francuzki, Karol Blanc zawołał na widok fresków Rafaela, że otworzyło się przed nim okno, wychodzące na raj, sztuka, poezja ma i mieć będzie po wiek wieków znaczenie takie w istnieniu człowieka. W obec porywających uniesień, wytworzonych przez poezję, przez sztukę, pierś ludzka musi odczuwać zawsze wzruszenia, nie dające się równać z niczem, co przynosi życie realne, a są to ciche, lecz słodkie rozkosze, bo człowiek ów posiada wtedy swój świat ideałów, które stają mu się uchroną w chwilach, gdy powszedniość zmęczy go i na niski poziom istnienia zpycha. Ten urok zawierający się w poezji, w sztuce, a który odziewa je wdziękiem do wysłowienia trudnym, może przecież pochodzić jedynie z głębi wewnętrznych uczuć człowieka, wyłaniających się w chwilach tej ekstazy, którą nazywamy natchnieniem. Jak trzeba malarzowi, rzeźbiarzowi przenikać utworzone przezeń postacie ludzkie duchem własnym, który by ucieleśnione ich kształty ożywił i opromienił, tak poeta, ten malarz uczuć, pojęć, idei, słowami jego malo-



ADA NEGRI.

wanych, musi rozświecać i ożywiać martwe tych słów litery.

Zatem poeta, przedstawiający w utworach swoich duszę ludzką, odtwarza piękno nigdy nie zagubione dla człowieka i staje się malarzem ideału; poezja nie ma też prawa bytu, jeżeli nie jest zdolną przedstawić tego ideału, któryby, odrywając człowieka od suchych realnych prac i zajęć życia, nie unosił go gdzieś wyżej, kędy zapatrywania jego na świat i ludzi stają się wznioślejsze i wzniosłości coraz to silniej pragnące. To, co Platon wyraził w „Biesiadzie:” „Muszę widzieć w koło siebie wiele piękności, abym tworzył z nich dopiero piękno, jakiego pragnę,” jest po wszystkie czasy koniecznością z układu ich wewnętrznej istoty wynikłą.

Umieć sobie znaleźć punkt życia, z którego zdobywać by sobie można poglądy takie na świat i ludzi, to stać się dopiero poetą i jakże cudowną niemal zdawać się może historia młodej poetki włoskiej, Ady Negri, której sława rozbrzmiewa obecnie w całej jej ojczyźnie, a której mistrzem było jedynie jej własnego serca bicie, jej własnych uniesień siła. Kiedy trzy lata temu ukazał się w Medyolanie tomik poezji pod tytułem: „Fatalita” (Los) prasa włoska zwróciła uwagę na szlachetne i głębokie myśli w utworach tych zawarte i zaczęto się dopytywać, kto jest ich autorką — w jakiej szkole życia nauczyła się patrzeć w głąb życia tego zagadnień, jego celów i obowiązków, które pióro jej skreśliło szlachetnie, nawet wzniosłe, chociaż brzmiała tu przeważnie nuta smętna. Gdy przecież

dowiedziano się że poetka, która je tworzyła jest młodą, dwadzieścia dwa lat liczącą panną, zmuszoną iść przez życie o sile własnej, zajęcie to wzmogło się jeszcze, zwłaszcza że warunki, w jakich życie to upływało lekko nie były. Córka ludu, urodzona w 1870 r., w miasteczku Lodi, ojca nie znała, bo umarł gdy było jeszcze dzieciną nie dużą, matka więc musiała pracować na swoje i małej sierotki utrzymanie jako robotnica w przędzalni wełny, dziecko zaś zostawiane samotnie w domu uczyło się wstępować w głąb siebie, żyć z myślą własną i to może było jednym z tych wpływów, które się w niej na wyrobienie poetycznej twórczości złożyły, dały jej poważny pogląd na życie i jego cele, jego stonki, przedstawiające jej się przecież najpierw ze strony swej twardej i smutnej.

Ale duch techniczny, gdzie chce. Walka o kawałek chleba dla ust nieraz go łaknących nie przywiązała tak przecież jej uwagi do materialnych tylko korzyści, aby myśl jej nie zapragnęła wybiegać gdzieś dalej, gdzieś wyżej. Silna, żywa wyobraźnia dziewczęcia uskrzydliła ją czarodziejsko i co życie nie dało jej poznać osobiście, to ona przez przyrządy wyobraźni uwidoczniała sobie, obecnie też zamknięta w ciasnej również, małej mieścinie, Motto Visconti, położonej nad brzegiem rzeki Tessin, idzie co dzień w prostych drewnianych trepkach z jednego jej końca na drugi, aby uczyć w szkole miejskiej osiemdziesiąt dzieci, dziewcząt i chłopców, nie włożonych do posłuszeństwa, do karności szkolnej. Nie obniża to w niej przecież tej siły wyobraźni, tej siły twórczej, która nakazała jej być poetką, tak jak nie zniechęca jej to i nie przygniata, że zamknięta w ciasnej, małej mieścinie, odgraniczona od ruchu szerszego życia, od świata pracy w zakresie jej pożądań i skłonności, nie może nawet zarobić sobie na jakikolwiek dobrobyt, na jakikolwiek ubarwienie samotnego istnienia.

Przykuta od poranku istnienia do taczki swojej, nie odetchnęła nigdy szerszego życia powietrzem, nie oglądała wspaniałych widoków natury, nie widziała nigdy morza w jego niezmiernie przestrzeni, nie widziała gór strzelających wierzchołkami swymi pod niebiosa, przecież opisy tych wspaniałych krajobrazów, mają w jej poezjach koloryt bogaty i są tak wdzięcznie przedstawione, że przykuwają do siebie czytelnika, a przecież ta w widokach piękna rozkochana poetka mieści się nietylko w bardzo ubogiej, niskiej izdebce, ale brakuje jej nawet światła, bo okna nie mają wszystkich szyb i część ich większa jest papierem zaklejoną, a najszlachetniejszym meblem jej mieszkania jest prosta skrzynia drewniana, w której mieści się jej biblioteczka, kosztem ofiary jakiegokolwiek dobrobytu okupiona. Skrzynia ta stanowi zarazem sofę; twardą jest wprawdzie, ale jej dobrze się i tu po zmęczeniu pracą mozolną. — Zdrowa jestem i młoda... odpowiadała nieraz wesoło odwiedzającym ją znajomym, to też gdy przychodzą wakacje, dające jej swobodę, wesoła i szczęśliwa, jak ptaszek puszcza się pieszo w drogę dla odwiedzenia matki.

W piosenkach tej tak pogodnej i z pozoru nie dla siebie nie zdającej się pragnąć poetki, ozwie się nieraz ton tęsknoty, echo skrytego jakiegoś żalu. Czy kochała kiedy nieszczęśliwie, czy może miłość, nie została nigdy w sercu jej zbudzoną przez słodkie uczucia tego wyzwania? Urodziwa jest przecież, a serce jej zdolne by było kochać silnie i gorąco, ale snadź cała moc jej uczucia skupiła się w miłości bliźniego, w miłości ludzi i pragnieniu ulżenia im ciężarów życia, zginających ku ziemi. Woła, aby ukochali pracę, a stanie im się wtedy lekko; podnosi to znaczenie jej godności. Piękny jej wiersz: „A coś zarobił?“ jest pełen siły i tej prawdziwie zdrowej idei szczęścia, która gdyby podjęta była przez ludzkość całą, szczęście stałoby się niewątpliwie na ziemi. Młodzieniec rozkochany przystępuje do pięknej dziewczicy z wyznaniem miłości, a ona pyta go, czy spojrzął on kiedy w głąb życia? „Czy wiesz ty co się cierpieniem zowie, czy znasz ty trwogi, walki, szturm ideału, pełnego siły odważnej? Znasz ty te noce bezsenne, noce bez odpoczynku, w których sen odpędzając pierwsze dzieło pracy się wytwarza? Czyś ty tak na szczęście zapracował już sobie?“ Odpycha go przecież, bo widzi, iż nie może on dać jej odpowiedzi takiej, jakiej ona pragnie, więc odsyła go tam gdzie są za-

bawy wesołe, gdzie są zarazem pokłony złotemu cielcowi składane.

Przez prace i trudy, oblewające znojem czoła, prowadzi poetka pracy szlachetnego młodzieńca, wykazując że praca tylko broni człowieka od upadku, od poniżającego osunięcia się w dół życia. Kto umie pracować, zahartowanym się staje, więc zdolnym stać o własnej sile i grzbieta nie zgąć, czoła nie pochylić. Bieda to brak pracy, kto przecież rozumie zadania pracy w ich znaczeniu dla ludzkości, ten nigdy w dół lenistwa się nie osunie.

Więc praca to anioł stróż człowieka, to cel jego wytknięty i droga utorowana. Ada Negri przeżyła osobiście tę wielką próbę życia, którego koleje nie zawsze wiodły ją tym szlakiem gładkim, gdzie nie ma kamieni ostrych, nie ma pochyłości niebezpiecznych, na których noga podróżnika poślizgnąć się może. Drogę jej życia zastąpiło nieraz blade widmo biedy, praca wydzwignęła ją przecież z niedoli i wywiodła na szlak życia równy i spokojnie iść pozwalający: dała jej byt zapewniony, dała godność samodzielnego istnienia z zasługą dobrego przykładu. Praca jej nauczycielska oceniona również została, powołano ją do rządowego seminarium dla dziewcząt w Medyolanie dla wykładu literatury, gdzie wraz z matką wiedzie życie spokojne i szczęśliwe, a byt jej zapewniony został do śmierci, bo gmina miasta Florencji, ofiarowała jej pensję dożywotnią, jaką otrzymywała poprzednio szlachetna też poetka, Giannina Milli. Ale wyższą nad to wszystko nagrodą jest wielkie uznanie, wielkie uszanowanie całego włoskiego narodu, który przyznał jej nazwę poetki pracy.

M. Ilnicka.

W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

VII.

I tak zawitały święta Bożego Narodzenia, — nawet dla niedowiarków, którzy kościelnej pamiętki nie uznają, dni jednak nieobojętne, dziwnie przejmujące uroczystością, która niejako z powietrzem przenika świat cały od pałaców monarszych do chaty wieśniaka, jak gdyby istotnie Dziecię Jezus, ideał dobra, podniosłości, zaparcia zstępowało na ziemię pomiędzy ludzi siac miłość, zgodę, przebaczenie i wesele...

W te dni wszelka radość wydaje się też podwójnie drogą, a troska w dwójnasób bolesną. W duszy każdego bowiem tkwi jakaś nadzieja i oczekiwanie, a zarazem chęć dzielenia się sercem z innymi; samotność i opuszczenie największym smutkiem dla tego, kto niema pomysłu o kim i gdzie się przytulić, równie jak dla tych, o których nie ma kto pamiętać.

To też ludzie zazwyczaj się gromadzą, jednoczą; niemal w każdym domu widać przygotowania podjęte w imię gościnności, z tą myślą, by z miłym druhem chleb przełamać.

I u państwa Leskich zatem panował ruch niezwykły.

Wprawdzie od samego przyjazdu Joasi, dom zmienił charakter, powoli zrzucając dawną skorupę zastoju. Przez wszystkie pokoje i zakątki przepływała jakoby fala zmywająca pył niedbalstwa i opuszczenia — i życie nowe ocknęło się w pleśniejącym sklepieniu.

A właściwie same drobności stworzyły te zmiany. W oknach oto stanęły świeże kwiaty rozwesalające oko. W pokojach za pustych przybyło trochę sprzętów wyratowanych skrzętnością ze strychu i komórek: gdzie raz popsute i rzucone, zarastały kurzem. Tym sposobem, prócz rzeczy najpierwszej wygody znalazło się w salonie nawet lustro i obra-

zów parę, od czasu przeprowadzki w folwarku zapomnianych. Wszystko to zaś razem z tem, że w jesieni dwa pokoje odmalowano, niezmiernie teraz cieszyło Joasię.

Oto bowiem na cztery dni przed wigilią przyszedł od pana Morskiego list z zapowiedzią przyjazdu.

List ten oczywiście stał się sprężyną całego ruchu w domu i źródłem radości, zwłaszcza dla niej, bo oprócz tego, co inni czytali czarno na białym, ona odgadywała utajone skarby szczęścia dla siebie i snuła przypuszczeń rój cały.

Serce mówiło jej wyraźnie, że odwiedziny wuja związane ze sprawą Adama. Czuła bowiem, że ojciec chrestny dawno czegoś się domyśla, choć prawdy nie wyznała przed nim, równie jak przed nikim, ledwo z Anielką Różniczką podzieliwszy się w części tajemnicą, już ze zbytniego ucisku, jaki jej to wszystko sprawiało.

Tymczasem zaś uczucie jej, lubo tylko nadzieją podsycane, rozwijało się razem z charakterem i umysłem, i wzmagало się w siłę, marzenie dziewczęce stanowiąc jedyne.

Tak też ją opanowało, odkąd list wuja wpadł w tę jednostajną ciszę dni codziennych, że rady sobie dać nie mogła, tembardziej, że niepewnych swych rojeń i radości zgola wyjawiać nie chciała. Wszystkie tedy rozprawy toczyła w duchu z tym najdroższym listem, który zabrała ojcu i nosiła przy sobie, by wśród zajęć i pieczenia ciast — ciągle wzywać na narady.

— Joasiu! dajże rodzynki, — woła matka z kuchni.

A tu ona zamiast chwycić talerz, który w spiżarni przy okienku stoi, papier rozwija — jakoby szukając, czy „przyjadę nie zamieniło się w „przyjeździemy“...

Albo czy ona wie, co znów te słowa znaczyć mają: „spodziewam się, że Joasia będzie zadowolona, że mnie ucałuje?“

Łamie głowę — lecz na próżno! Niby krąg czarodziejski przykuwają one wzrok do siebie. Czuje pod niemi olbrzymią tajemnicę, która jak z pod małej przykrywy bokami się wyciska i wymyka — lecz jądro szczerze chowa.

— Joasiu! A czy wuj lubi mak bardzo słodki? — znów zapytuje matka, stojąc przy Ludce, która w donicy zapamiętała wałkiem wieri.

— Dobrze, dobrze, matuniu... jestem! — odpowiada Joasia i znów szeleści, papier mnie z pośpiechu, do kieszeni chowa — wybiega.

Siostry w śmiech głośny uderzają.

— A czyś tam gazetę czytała na śledziach? — zapytuje Helka, z gospodarstwem na bakier, więc ledwo z łaski bijąca jaja w garnku.

Joasia płonie — ale oczywiście przytomność zbierać musi. Struclę z makiem umyślnie na cześć wuja pieką — trzeba aby się udała. Przytem — naraz — nie wiedzieć czemu — jest zupełnie pewna, że i Adam przyjedzie. Serce omal z piersi jej nie wyskoczy... i chciałyby — aby ciasta były wyborowe.

— Moja mamó, a czy z powidłami albo z masą nie upieczemy drugiej strucli? — pyta nieśmiało, z większym przejęciem i zakłopotaniem, niż warta sprawa tak błaha.

Dusi ją za gardło tajemnica. Chciałyby matkę schwytać w ramiona, do komórki zapędzić, wyciąwać przed nią swą twogę i radość bez miary... Zdaje jej się, że chowanie sekretu, jest przestępstwem, zdradą, grzechem wobec matki śmiertelnym; że ta mowa o strucli, to podstęp brzydkiej, ubliżający, jej niegodny... Wstydz się — mimo to po chwilecze rzecze:

— Powidła są, usmażone z naszych sliwek, pamięta matunia?... a ciasta możnaby przyczynić...

I wybiega do spiżarni, zecerwieniona, pomieszana — ręce do oczu przyciska: — Nie, już dłużej nie wytrzyma!...

— Lecz, mój Boże!... mój Boże!... przecie trzeba coś mieć do podania, — mówi, uciszając w sobie przykrość o zdradzieckie oszukiwanie matki. — A nie mogę, nie mogę wyznać prawdy, jeszcze do jutra... bo jeżeli nie przyjedzie — jakżeż mama by się namartwiła! Zatrulałabym jej całe święta!...

I duma.

— A ja... jakie będę je mieć, jeśli nie przyjedzie?...

W tej chwili gasną wszystkie jej nadzieje, rozwiewają się — żadnej dokoła nie widzi. Bo i na czymże je budowała?... Przecież wuj byłby uprze-

dził choć słowem, gdyby Adama przywieźć zamierzał, gdyż wie, że nie są zamożni i zaopatrzeni... A może przeciwnie, wuj z rozmysłu nie donosi, wierny zasadzie: „przyjmować tem, co w domu jest, bez wyróżnień, obłudy i wysiłku?...“

Dusza jej zupełnie jest jako niebo jesieni, które to rzuci snop światła, to znów posępną chmurą się zakrywa...

I tak trwa przez tych dni cztery całych.

W końcu przecie wigilijny poranek zaświtał.

Pierwsze spojrzenie Joasi po otwarciu oczu pomknęło ku oknu, z żywym zapytaniem: jaka też pogoda?

Mrok jeszcze był z nocy nieroztrzęziony, ale zdał się mimo szarości różem zaprawny, jakby gdzieś wschodziło jasne, rumiane słońce.

Serce jej drgnęło. Tak bo sobie układała po dzieciństwie, że gdy pogoda wytrwa, to ją szczęście nie zawiedzie.

Chybko też zerwała się, pobudziła siostry—i zaraz po śniadaniu do reszty roboty stanęły.

Helka była ochotniejsza, w dobry humor nadzieję rozrywki wprawiona; albowiem na wigilię zaproszony został profesor Kubik i Anielka Różnicka z bratem, których matka, wdowa, wyjechała do drugiej córki.

— Co tam „Kubek“ furda! W Joasi oczy topi jak kot w mleku, i niedźwiedz stary!... Ale Władek Różnicki ma być chłopiec niezego, — myślała i pośpiewując uwijała się po pokojach, przy zakładaniu firanek i porządkach.

Joasia tymczasem krzątała się z najmłodszą koło gospodarstwa.

— Idź no, Franiu, i zapytaj mamy gdzie susz schowała—i czy dostać porzeczek na drugie święto do cielęciny, a sałatę zrobić na jutro do pieczenia, bo najlepiejby wszystko przysposobić za jednym zachodem,—mówi przez praktyczność, lecz oczywiście dalszej myśli nie wyjawia: „bo i jakżeż mogłabym ciągle siedzieć w kuchni przy wuju i przy nim?...“

— Ach, lecz to niema jabłek i orzechów!— przypomina sobie. Nie myśli wszakże z tem, jak ze struclą do matki występować. Ubieganie się o dobre przyjęcie wydaje jej się w tej chwili ogromnym dzieciństwem. Sama własnej gorliwości z dnia poprzedniego się dziwi — tak jest niespokojna i przejęta.

Serce bić jej przestaje za każdym uderzeniem godziny, za brzęknięciem dzwonek u sani na ulicy. Ale biega co żywo; przegląd wszystkiego po pokojach czyni, matki prosi, by się bez zwłoki ubrała i dziewczyny nagli.

Wacław na „rybce“ tylko ojciec w domu. Ona pierwaj niż siostry gotowe. Gładki stanik granatowej sukni srebrnym rumiankiem zapina, fartuszek zakłada i stół nakrywać idzie.

— Dzisiaj będzie obrus zamiast ceraty, a pod obrusem trochę siana, dawnym zwyczajem... Postawią się dwie lampy po boku i piwo, — mówi do Frani, jak by dla upewnienia, chcąc na czyjąś pamięć trochę ciężaru złożyć...

— O, już się ściemnia! ale pogoda śliczna,—dalej ciągnie; i wyjmując zapasowe noże i widelce z szuflady, spogląda w okno, w którym rumieniec zachodu odbija przy śniegu białym, jak rumieniec dziewczicy przy błękitnej gazie.

W tem Helcia krzyk radosny podnosi z Ludką:

— Wuju, wuju! poznałam—jedziel w okno patrzył—o, już stanął!...

Natychmiast też w przedpokoju u drzwi frontowych dzwonek się odzywa.

Pan Leski mimo nóg starych żywo z miejsca rusza, Joasia noże i widelce rzuca, fartuszek odwiązuje, biegnie—biegnie—w oczach jej się ćmi, w głowie mąci—już zda jej się, że za wysoką postacią wuja w szopach, widzi na progu drugą, drobniejszą, z głową w barankowej czapce — cień miga—drzwi się zatrząskują... pan Kazimierz przyjechał sam.

— Wuju najdroższy!—wykrzykuje, rzucając mu się na szyję, bez baczenia na szronem okryte futro; i w gorących uściskach i pocałunkach topi część zawiedzionych nadziei, a krzepi drugą: że choć o *nim* usłyszysz.

— A cóż za waryat, dziewczyna! Dajże mi futro zrzucić i obetrzeć wasy,—mówi profesor i pozwała Ludec z ramion płaszcz ściągać, a chustką po brodzie i wásach smaruje.

Joasia tymczasem stoi przed nim i w oczy mu patrzy—patrzy, jakby duszę prześwidrować chciała i wysączyć;—uśmiecha się, a na rzesach drżą jej łez wielkie, przejrzyste perły.

I bez słowa raz drugi szyję mu oplata, do piersi cisnąc się namiętnie.

Ten wuj, to nietylko dla niej węzeł z miłością dziewiczego serca zjednoczony; to i cały świat jej myśli, treść moralnej istoty i siła — uosobienie wszelkiego dobra, jakie w duszę zaczerpnęła na życie...

Pan Kazimierz snadź i na powieki musiał grubo nabrać szronu, bo i po oczach chustką przeciągnął.

— No, to zacheiało się staremu sanny używać i w zimie włóczyć, — rzekł witając pana Wiktora, cierpliwie czekającego swojej kolei.

— A gdzież Teklusia?

Pan Leski poklepał szwagra po ramieniu i dobrodusznie się roześmiał.

— Mój drogi! na starość człowieka nie odmieni: jeszcze nieubrana.

— A dziewczyn! toć trzeba było matkę tak we wszystkim wyręczyć, aby od rana siedziała na fotelu jak królowa, — rzekł profesor do młodszych, Joasia bowiem zniknęła.

— Ee! to nie z mamą! Żeby nas sześć mamę zastępowało, to i tak w kuchni siedzieć będzie! — śmiało odparła Hela.

Pan Kazimierz spojrział na nią uważnie—i do bawialni zaproszony, wkroczył.

— No i cóż? zadowolony jesteś z Joasi?—zapytał żywo. Od progu bowiem owionęła go tak odmienna od dawniejszej w tym domu atmosfera pogody, a staranności, co jakby duszę otoczenia stanowi.

— Powiadam ci, zuch dziewczyna! Meternich w spódnicy,—z uśmiechem odparł pan Leski w złotym humorze z powodu przyjazdu krewnego i możliwości przyjęcia osób kilku u siebie;—rzeczy niebywałe.

— Ale! omal żeśmy we dwu was nie najechali!— zaczął w minut parę pan Kazimierz, gdy i Joasia niby już aspokojona siedziała obok.—Miałem wam tu przywieźć jednego młodzieńca, oczywiście dla panien zabawniejszego niż moje chłopaki, lub ja stary.

Joasię łuna oblała. Helka zaś przy kwiatkach coś skubiąc, odwróciła się żywo.

— I dlaczegoż wuj nie przywiózł?—zapytała.

— A bo... bo dostał kataru—i wizytę musi odłożyć do wiosny.

— Szkoda! Lecz nie mógł to wyleczyć się—lub dojechać juuro?

Joasia czuła, że mowa o katarze jest zmysleniem, żartem, a pokrywa coś ważnego. W milczeniu też zawiesiła wzrok na twarzy, na ustach wuja.

— Cóż? panienska się nie domyśla? — widząc to zapytał on z uśmiechem.—Zgadnij!

Dziewczynnie serce biło, aż pierś stakaniem podnosząc, wargi drżały.

— Adam... Adam! — wołała w duszy chcąc to imię wypowiedzieć; otworzyła usta—lecz głos zamierał w gardle, słowo stygło z trwogi.

— Wymówi się, tajemnicę najdroższą, zdradzi... Nie! nie! słowa tego za nic nie wyrzeczy—bo może on, a może nie on!...

— Co? nie zgadniesz? To próbuj ty!—rzekł pan Kazimierz do Heli.

— A czy my to wiemy kogo Joasia znała w Warszawie?

— Nie wiecie? Nie nie mówiła, ani o jednym?

— O żadnym! nigdy!... Ona by też powiedziała!

— A to prawdziwie zuch dziewczyna! I do sekretu dobra, jak mężczyzna!... Ale kiedy tak, to i ja tajemnicę zrobię i powiem dopiero po wigilii,—dokończył z rozmyślnem przekomaraniem.

— A jeśli wuj żartuje, jeśli to nieprawda?... On może w mieście wysiadł i przed obiadem jeszcze się pokaże?... O, pewnie zgadłam, bo wuj się uśmiecha!—klaskając w ręce wołała Hela.

Dla Joasi wszakże za wiele było udręczenia; za drzwi wymknęła się drżąca.

Dopiero wyczatowawszy chwilę, gdy pan Morski sam w salonie pozostał, przypadła do niego i za ręce uchwyciła.

— Wuju drogi! powiedz mnie jednej prawdę!... przyjechał?

— Kto, dziecko?... O kogo ci chodzi?

— Adam!... Ty wiesz.

Na twarzy pana Kazimierza odbił się namysł poważny i wahanie. Patrzył w jej oczy szeroko rozwarłe, oczekujące, blasku i gorąca pełne—i rękę na jej głowie położył, jak gdyby chciał tem dotknięciem uciszyć za żywo zrywające się serce.

— Nie—nie przyjechał—ale chce przyjechać. Był przedwczoraj u mnie—i dużo mówił mi o tobie i o sobie—cedził pan Morski przeciw zwyczajowi po słówku, jak człowiek, który kłamie raz pierwszy, lub wbrew przekonaniu prawdę ukrywa.

Joasia słuchała go—słuchała w zapamiętaniu; potem nagle szepnęła:

— Ach, Boże mój!—i rzuciła się na jego piersi, twarz kryjąc.

Pan Kazimierz brwi ściągnął i głową pokręcił. Rozumiał, co w jej wykrzykniku brzmiało.

— Widać kocha go bardzo... Bodaj się nie zmarnowała!—pomyślał.

I głąskał jej włosy i czoło, jak małemu dziecku, dopóki nie posłyszeli kroków, na których odgłos dziewczyna z salonu wybiegła.

W godzin parę u państwa Leskich było gwaro, jak nigdy przy obiedzie wigilijnym i przy herbacie, którą niebawem potem podano.

Mimo braku „tajemniczego gościa“, który oczywiście się nie pokazał, skład towarzystwa obejmował i tak dwóch kawalerów „dowboru“ oprócz Wacława i trzy panny „do wzięcia“, co wiele wpływało na podniecenie animuszu i humorów.

Wprawdzie z panien, jedynie Hela mimo krótkiej sukni czyniła podjazdowe kokieterijne zabiegi, które ruch sprawiały. Joasia, ani Anielka Różnicka, „słodką duszą“ zwana dla niezmiernej łagodności, wcale dorównywać jej w manewrach nie usiłowały. Ale znów panowie obaj na prześcigi starali się przymioty swe roztaczać, jeszcze wolni od zawiści rywalów, a już rozgorączkowani chęcią wyróżnienia się, właściwą współzawodnikom na każdym polu.

Profesor Kubik, który zaraz po wieczorku u Zdierskich złożył wizytę, nie bez zaczątków afektu w sercu, za dobrą wróżbę poczytując zaproszenie, ożywiony był i mówiący, jak człowiek w miarę zakochany, a wiele chcący się podobać i ździłba nadziei nie pozbawiony.

Władek Różnicki zaś, młodszy znacznie, a mniej wykształcony i nieśmiały, próbował nadszakiwaniem, nie wymową, zyskiwać względy obu domowych panien. Od niedawna bowiem piastun niezłej posady przy kole, w swoim przekonaniu mając możność wstąpienia w związki małżeńskie, nader czułym stał się na wdzięki niewiast, wśród których szukał swojej wybranki. Z gotowem tedy sercem do kochania, czule przewłóczył szafirowemi oczyma z Joasi na Helę, zapytując w duchu: „Ta, czy tamta?... A nużby która?...“

Na twarzy Joasi nie było śladu niepokojów, łez i zawodu,—jak na niebie wiosennem, z którego burze przedwczesne szybko spędzają chmury, by słońce potem jeszcze pełniejszym darzyło blaskiem.

Adam myślał o niej, mówił, chciał przyjechać—więc kochał. O cóż miała się troszczyć? Czego więcej pragnąć?

Wystarczał jej sen o miłości i nadzieja; wiadomości świeże pokrzepiły duszę. Promieniowała też rozkosznym rozkołysaniem, które z oczu błękitnych biło jasnością, z ust rumianych płynęło uśmiechem i słodyczą.

Pan Tomasz Kubik, patrząc na nią, pocił się z zachwyty i raz wraz ręce i czoło ocierając chustką, już na początku wizyty rozwiązał w roztargnieniu kokardkę wąskiego czarnego krawata, który nawet „związany“, ale zwietrzały wiecznem miętoszeniem, opadał mu zazwyczaj niedbale na gors koszułi.

Uczucie w nim wzbierało. Ponieważ zaś brał ożywienie Joasi za drugą pomyślną dla siebie zapowiedź, sadził tedy „bóstwem“ i „bóstwami“, co trzecie zdanie, jak gdyby rzeczywiście duchem przebywał w Grecyi, i zamiast ścian pomalowanych w białe kwiaty na tle dębowem, widział cudne gaje oliwek i pomarańczę; a zamiast hożych panien z krwi i kości—klasyczne, a martwe boginie.

Prawdziwie zaś filolog żywił i bałwochwalcą poniekąd cześć dla kobiet, jako zon i matek, i chował

dla nich ogromnie serdeczne współczucie, jako dla istot wtlejszych i więcej cierpiących fizycznie.

A ponieważ w praktyce życia wogóle mało miał z niewiastami do czynienia, i kobietę niemal utożsamiał z wyobrażeniem dobroci, słodyczy i miłości, przeto uważał, że zakres jej działania jest bardzo wielkim w samej sferze uczuć. Co zaś do stanowiska jej w społeczeństwie, wyrobił sobie pojęcia, w których chęć ograniczenia praw i działalności, zbliżona duchem do starożytnego niewolnictwa, łączyła się z uwielbieniem z czasów rycerstwa, lubo głównie wypływała z ofiarności własnego jego serca.

Podczas tego wieczora zaś niejednokrotnie znajdował pan Tomasz sposobność zaznaczenia swych przekonań w tej mierze, albowiem pan Kazimierz podsyczał rozmowę najrozmaitszymi tematami; a on mając myśl zwróconą ku pragnieniom własnego „bóstwa i ogniska, raz poraz w tę stronę popychał rozprawy i spory.

— Ja—ja—miałbym żonie pozwolić pracować na chleb?—wykrzyknął na przykład ze szczerem przejęciem, posłyszawszy, iż pan Morski dowodził, że każda dziewczyna na równi z chłopcami powinna mieć jakiś fach w ręku.—Ja bym drzewo rąbał, kamienie tłukł przy drodze, a nigdybym nie pozwolił temu drogiemu stworzeniu się mordować... Dalibóg oprawiłbym żonę w brylanty...

Zmieszał się jednakowoż filolog okrutnie, gdy Joasia tu go zagadnęła:

— A cóżby pan począł, gdyby ta szczęśliwa, czy nieszczęśliwa z ram wyszła i oświadczyła, że nawet w brylantach, jako malowana nie wytrzyma ani godziny?

— Nieszczęśliwa?... nieszczęśliwa?... Co pani mówi?... Toć przecie „bóstwa“ po wszystkie czasy przepadały za klejnotami; i królowanie winno im być nad wszystko miłe,—odparł na swą obronę.

— A! „bóstwa!“—żartobliwie podjęła Joasia.—Ale zwyczajne, ziemskie śmiertelniczki niezawodnie przekładają swobodę myśli i możność czynu nad dawne przywileje, a ścieśnienia...

— Bo to kolega siedzisz ciągle w swoich Arystotelesach, Platonach, Epiktetach i przechowujesz zapatrywania z przed wędrowek ludów; a tu czasy się zmieniły,—wtrącił pan Kazimierz.

— Ależ na Boga! Ja niczemu tamy nie kładę i nie złego nie chcę,—przerwał Kubik, sapiąc z rozgorączkowania.—Uważam tylko, że skorom ja kiej, zwierzę, i poganin, to choć kobieta winna być aniołem, czystością i cnotą, by mnie podniosła, nawróciła, ukoła... A jak będziemy mieli obok tylko równych nam kolegów, to gdzież przyjdzie nam szukać orzeźwienia ducha, rozgrzania serca ideału? No, runie, ze szczeniem runie nasza świątynia domowego ogniska, którą każdy mimo wszystkiego mieć i czcić pragnie!—dokończył tak wymownym spojrzeniem obejmując Joasię, że aż spłonęła, bo nagle poczuła się jakby wbrew woli postawioną już na ołtarzu.

Gdy zaś Pan Kazimierz to spojrzenie filologa uchwycił, odrazu odgadł, że oczywiście miłość zaświtawszy mu w głowie i sercu w trzydziestym ósmym roku życia, czyniła go tak pochopnym do uniesień, ofiar i zapałów, wprawiając w stan, w którym człowiek dla ukochanej kobiety,—zwłaszcza gdy ją ma przed oczyma—radby kamienie z drogi usuwać, pyłki zmiatać—niemał smoki okrutne mordować.

Uśmiechnął się tedy pan Morski dobrotliwie, ale odpowiedzi nie poszedł.

— Nie obawiaj się kolega o tę „świątynię“, ani o ród ludzki i rodzaj kobiecy,—począł po chwili,—albowiem przewroty żadne, prawom natury przeciwne nie zajdą. Przesada dzisiejszego prądu przemianie i owa niewiasta w pół mężka w pół żeńska z widowni zniknie. A na walce, na przetarciu i rozświetleniu pojęć, jeno ludzkość zyska w sumie ogólnego szczęścia i podniesieniu moralnego poziomu. Boć nie zawadzi nic, że ten tyran despota, nieokiełznany mężczyzna przekona się, iż trudno nadal za królowę, niewolnicę, albo zwierzątko, zabawkę traktować tę, co i laury na katedrach zbierać potrafi...

— Zresztą pomoc nasza przecie ujmij nie przynosi,—wesoło powiedziała Joasia, słysząc że Kubik pół głosem szeptem: „Wszystko dobrze, ale ciężką pracę prawie naszym tęgim barkom pozostawiać...”

— A widzisz, kolega, długie opieszalstwo do podwójnego zmusza czynu,—dodał pan Morski, bystro patrząc przed siebie.—W naszym zaś kraju tyle pracy leży odłogiem, że jeno za ręce się imać, jak kto stoi—i do roboty! Bo kto w obec dziejów, jak maruder w obec armii w tyle pozostaje, ten sam siebie na zagładę sądzi!

— Ależ, mój wuju,—odezwał się tu Wacław, który dotąd w milczeniu zajadał ser owezy i herbatę popijał,—dobrze to mówić, a właśnie u nas taki ścisk na każdym polu, że nawet człowiek z wykształceniem dobieć się niczego nie może...

— Mylne zapatrywania, mylne,—żywo odparł pan Kazimierz.—Oto majątków gotowych do brania oczywiście niema, ale pracy nikomu nie braknie, kto jej szuka. Tylko że dziś każdy na pierwszym względzie kładzie zysk materyalny i osobisty; nikt przytem nie chce być zwyczajnym człowiekiem, wszyscy pną się do wielkości i wyróżnień; ztąd też mnóstwo i wykołajonych, i karyerowiczów za jakąbądź cenę, a lekceważenie pracy rzetelnej lubo niepokojnej—choć to podstawa główna w budowie każdej!—dokończył zwolna, prawie drżącym głosem...

Tu zapanowała krótka chwila ciszy. Wacław wstał tymczasem i pięść podparłszy, usilnie począł przypatrywać się końcom własnych butów. Joasia zaś do ojca chrzestnego przypadła.

— Ach, mój wuju! jak ja ciebie słuchać lubię!—zawołała, ściskając go serdecznie.

Panu Tomaszowi zrobiło się gorąco. Ocknął się z zadumy.

— Nie! To bóstwo, to prawdziwe „bóstwo“—przecież niezwykła kobieta!—pomyślał.

I ledwo niewyraźnie odbąknął coś z zakłopotaniem, gdy Joasia zapytała go, czy nie życzy sobie herbaty.

Nie.—Przerwała się wszelako na tem rozmowa, albowiem Wacław czuł widocznie potrzebę usprawiedliwienia się poniekąd przed wujem. Podjął tedy:

— Ale jak tu nie myśleć o korzyści materyalnej i nie chcieć zyskowniejszego stanowiska, kiedy potrzeby tak dzisiaj wzrosły, że nawet człowiek przy dwu tysiącach rubli żenić się nie ma odwagi...

Tu Kubik do reszty otrzeźwiał i w zabranii głosu wyprzedził pana Kazimierza.

— E, to chyba między jurystami, w sądownictwie,—skwapliwie zawołał, i machnął krótką szeroką ręką w powietrzu, jak dla odegnania mary nieprzyjemnej.—„Pensuję mam o pół mniejszą, a jak mi Bóg miły! dziś stanąłbym u ołtarza i liczną założył rodzinę!...“ wyrwało się w jego myśli.—Prawda, panie Różnicki, że i kolejowi urzędnicy o zamkach maurytańskich w Hiszpanii nie marzą, poczciwi ludziska!—zagadnął głośno.

— Tak... w samej rzeczy—odparł skromny Władysław, ze wszystkim pochłonięty rozpatrywaniem dywizjów obecnych panien.

— My, kolejnicy, mamy najczęściej mieszkanka szczupłe i ciasne, ale nikt nie myśli o pałacach, nawet w miejscu,—dodał naiwnie.

Wacław uśmiechnął się z pogardliwą złośliwością. Helka zaś ciągle z Anielką szepcząca, powstała tak energicznie, że mimowoli impuls do ruchu dała wszystkim, czego oddawna pragnęła.

Towarzystwo całe niebawem też znalazło się w salonie. Starsi panowie, wraz z panią Teklą, wyjątkowo w dniu tym oddaną gościom, zasiedli na fotelach i staroświeckiej kanapie; poczem pan Wiktor, odsapawszy już w milczeniu wigilijny obiad, rozmowę ze szwagrem zagajał. Młodzi zaś chodzili parami dokoła—Władek w obrotach Helenki.

Wacław jeno, marząc o wypoczynku znów się pod piecem wygrzewał, swoim zwyczajem. Obok niego w pół cieniu stał i profesor Kubik. Ale temu oczy błyszczały wcale nie sennie.

Milczał i grubemi palcami razwraz gorączkowo pocierał krótko przystrzyżoną brodę, lub włosy ostre, na podobieństwo szetotki równo sterczące.

— Tak, to niezwykła kobieta!—myślał, z zachwytem spoglądając na Joasię.—Oświadczyłbym się tu na miejscu—„plackiem“, upadł przed nią, i—na Olimp! Wystawiłbym jej świątynię z alabastru, ze szczerzego złota, gdyby mnie stać było,—westchnął pełen zapału...

— I prawdziwie—dla czegożby się nie oświadczyć?—pytał po chwili.

Pochodził on z chłopów w pierwszej linii. Mimo też zaszczeplonej w sobie cywilizacji, a wrodzonego poczucia piękna, co czyniło go szczerym wielbicielem klasycyzmu, miał w swej naturze pewne szczątki prostoty ludzi wiejskich, traktujących miłość, ożenek, śmierć, zwyczajnie, na równi z innymi kwestyami życiowymi. Naraz tedy wydało mu się rzeczą dobrą i naturalną prosto podejść do tej, którą serce wybrało, w rękę ją pocałować, uczucie wyznać i na żonę zaprosić bez ceremonii. Niemało ważyła tu i otwartość i prawość jego charakteru.

— Albo by jej czego przy mnie brakowało? Na chleb zapracuję zawsze—choćby żyły wypruć z ciała, zapracuję! I dalibóg! będę uczciwy—będę!—myślał.

Coraz więc goręcej zerkał za nią małemi bystremitami oczyma, które mu błyszczały jak dwie szklane szpilki—i, przeprowadzając ją wzrokiem z jednego końca pokoju w drugi, coraz natęczywiej powtarzał w duchu:

— Jak jeszcze raz zawróci, to się zbliżę i oświadczę. Jeszcze raz—jeszcze raz—oświadczę się... No, durniu! odważnie naprzód!... Jeszcze raz—jeszcze raz!...

Ale—stał na miejscu, przykuty podwójną trwogą i nieśmiałością: szczerze zakochanych i ludzi, którzy wyszedłszy ze swej sfery, w ważnych chwilach życia czują brak pewnego gruntu pod nogami, i podają się wątpliwościom i obawom, o jakich zwyczajnie już zapominają.

Joasia tymczasem chodziła, chodziła z Anielką, żywo rozprawiając po cichu—aż krach! obie z salonu wypierzeły.

Kubikowi w oczach pociemniało.

— Uf... Ale to, panie, u państwa gorąco—rzekł do Wacława, który pół drzemał stojący; i dobywszy chustkę z kieszeni, otarł zwilżone czoło i ręce, a potem na krześle usiadł.

W pół godziny, gdy po odejściu gości domowi do spania się zabierali, Joasia wpadła jeszcze ze świecą i zapalkami do pana Kazimierza, któremu w salonie usłano, wyrugowawszy Wacława do jadalni.

Po chwili zęgnęła się na dobranoc.

— Ale, poczekaj no, dziecko—poczekaj!—rzekł pan Morski, do kieszeni sięgając.—Masz tu list.

— List?

— Tak—od Adama.

Joasia drgnęła. Wielkie, niespokojne, pytające oczy utkwiła w twarzy pana Kazimierza, niezdolna wyrzec słowa... Bo skoro wuj oddawał list tak późno i bez objaśnień—treść jego zła być musiała. Ale jaka—jaka?

Zbladła, spłonęła—znów zbladła.

— Nie przestraszaj się!.. to gwiazdka! List podobno przykrych wieści nie zawiera,—z uśmiechem dorzucił pan Morski.

Ale ona po raz drugi, ulegając w tym dniu silnemu wstrząśnieniu, już nie mogła przyjąć łatwo do siebie. Nie była w stanie odpowiadać ani pytać. Porwała list—machinalnie pocałowała rękę wuja—i do swojego pokoju uciekła.

„Joašku, ty moja najdroższa, ukochana...”

Słowa te pierwsze, jakie po zdarciu koperty wyczytała, objęły ją odrazu prądem ciepłym, oszołomiły, zakłęły, jakby czarodzieja znakiem. Wszystkie następne wiersze zlały się w jej oczach w bezkształtne gzygzaki, sprowadzając w skroniach szum, wśród którego echo tylko powtarzało: „ty moja najdroższa... ukochana... ukochana...”

I trzymała tak list w trzęsącej ręce, przed drgającym i emiającym się wzrokiem, nie zdolna ani czytać dalej, zastanawiać się, z kąd Adam tak do niej pisze, z kąd śmiałość bierze, by ją tak zwąć—co więcej powie, czego chce—co wyzna sam?

Dopiero po długiej chwili gdy ochłoneła, jednym tchem przebiegła dwie stronic.

„Nie dziw się, że tak wprost do ciebie przemawiam. Tyś mi się przez tych miesiące kilka tak drogiem stała ukochaniem, że nie mógłbym już mówić do ciebie, rzec chłodno „pani“—dziś, gdy w duszy własnej zwę cię mą duszą, w sercu, moim sercem...”

„Ach, Joasiu! Ja szalony jestem, waryat! Mnie tak dzika za tobą zdejmuję tęsknota, że jak opętaniec wiję się z pragnienia i żaru, co mi pierś i serce trawi!—próżno tobie mówić, że ja cię kocham.

Wszystko, co ten wyraz po dziś obejmował — to wszystko ma! Trzebaby nowy z dźwięków serca wykuc, dotąd nieznan.

„Gdy był blisko Ciebie — jam się opamiętać nie mógł ile dobra i słodyczy z twych jasnych oczu w mą duszę spływało; tegom nie rozumiał, ile spokoju wlewałaś w mój burzliwy umysł. Wiedziałem tylko, żeś mi dobrem, ukojeniem — teraz widzę, żeś mi i władzą, hamulcem. Ty wiesz, jak ja uległości nie znoś — jakim ja często dziki, wściekły, rozhnkany — tyś może tego widzieć i zrozumieć nie doś umiała, alem ja taki! nie do więzów, nie do przymusu — niewoli. A czy uwierzysz, ty słońce duszy mojej posępnej, niepohamowanej — że ile razy Ciebie w myśli widzę, to zawsze siebie z głową u stóp twoich, i ze zgiętymi do pół kolanami, zkuwającego sam siebie w kajdany, z radością i uśmiechem...

„Taką jest miłość moja dla Ciebie i takim ja!

„Tyś mnie nie znała — powiedz, czy się nie zleknieisz? — Czy mam przyjechać, aby Cię zabrać sobie na własność?

Adam.

Słowa *natchnione* gorącym uczuciem, choćby chwilowym, ale szczerze, z *ichem* piersi, z uderzeniem serca przeniesione z duszy na papier, jak gdyby sama myśl wirująca w mózgu, sama krew krążąca w żyłach odcisnęła je i napiętnowała swoim ogniem — zawsze mają potęgę wielką; zawsze podbijają; ale cóż dopiero, gdy stanowią dla młodej dziewczyny pierwsze miłosne wyznanie.

Przejęły też Joasię na wskroś, przenikając całe jestestwo z duszą i ciałem. Tylko po przeczytaniu listu do końca — mniej doświadczała czystej, prostej radości, niż rzechy — jakiejś wielkiej powagi. O ile pierwsze wyrazy, samo nazwanie „ukołchaniem“, wrzuciły ją i rozkołysały miękko i rozkosznie — o tyle następne przejęły uczuciem uroczystym, dumnym, jakie musi być udziałem dzieci, którym zawczasie powierzają opiekę nad młodszymi, obarczają odpowiedzialnością.

Wątku ówiartka papieru stała się dla niej odrazu wielką księgą i środowiskiem ciepła, które obejmowało, rozgrzewało jak żar — co zawsze swoje czyni, czy człowiek chce czy nie chce, skoro tylko do niego się zbliży.

Jeszcze rankiem tego dnia miłość była dla niej marzeniem, snem, rojeniem, jakby wonią odorującą wionennych bzów i czeremchy; teraz stawała się życiem, treścią życia, rzeczywistością, zadaniem nowym, a wielkim, które występowało przed nią i z niej samej powstawało, bo młodzieńcza jej dusza instynktem przeczuwała je, ogarniała, odrazu uświęcając.

— Tak, chcę aby przyjechał — chcę! chcę! — powtarzała nie z kapryśnością rozkochanej dziewczyny, nie z wesołą uciechą dziecka — lecz ze stanowczością dojrzałej, kochającej kobiety.

I gdy z tym wyrazem na ustach zamykała powieki do snu, który to ją kołysał, to odpierchał — uszu jej dolatywały głośne, radosne dźwięki dzwonów, obwieszających światu, że „Bóg się narodził“ — a przez okno zaglądały jasne gwiazdy, pogodnie świecące na niebie po tym pięknym dniu wigilijnym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Wiosna i „Dolina.“ — Koncert Melcera i „Fantazyja“ Paderewskiego. — Żale za Battistinim. — Suppé. — Strauss i jego „Jabuka.“

Coraz trudniej przy zamykającym się sezonie z faktów muzycznych ułożyć wiązkę feljetonową. Wiosna ma przecież swoje prawa, i w obec niej, niepodobna myśleć tak często o muzyce. Dla pragnących pogodzić oba te czynniki, najmiłszą jest obecnie Dolina Szwajcarska, gdzie istotnie zbierają się tłumy dla słuchania orkiestry, która już sobie stanowczo sympatyę w Warszawie zdobyła. My wpraw-

dzie te trzytysięczne zastępy rzadko widzujemy, bo nad program niedzielny, lekki, przekładamy zawsze wieczory symfoniczne, tembardziej, że one oprócz głównego dzieła, usprawiedliwiającego ich nazwę, i całość programu pięknie złożonego przedstawiają. Z symfonij słyszeliśmy dotychczas: Beethovena „Eroice“ (N. 3), *Pastoralną* (N. 6) i czwartą; Mendelsohna szkocką; Mozarta „Jowiszową“; Goldmark'a „Wesele wiejskie“, Raffa „Zimę“ (N. 11) i t. d. a oprócz tego jako dodatki obie suity Griega, pod tytułem: „Peer Gynt“, suitę Czajkowskiego, Volkmana i inne. Raz tylko jeden w ciągu sezonu, pan Meyder popełnił omyłkę, dając nam na symfonicznym koncercie zupełnie bezwartościową suitę jakiegoś pana Manasa — ale zresztą należy mu się tylko uznanie tak za wybór, jak za wykonanie, nieraz opracowane w najdrobniejszych szczegółach prawdziwie artystycznie. Oczywiście, że jak każdy artysta, lepszy czy gorszy, dyrektor orkiestry dolinowej posiada, oprócz ogólnego wykształcenia fachowego, i własną indywidualność, której rysy główne swą charakterystykę na całą jego działalność rozciągają: jest on spokojny i nierzykomy w ogóle, w wielu zatem wypadkach tempa bierze dość wolne, zwłaszcza z początku — nie brak mu jednak zapału i życia, a w niektórych drobnych klasycznych kompozycjach i koronkowego nieraz wycieniowania, a takie opracowanie pod względem dynamiki i wzajemnego ustosunkowania się instrumentów w orkiestrze, daje nam dziwną malowniczość, tak, że słuchając np. „Zimy“ Raffa, mogliśmy sobie wyobrazić rodzinę, gwarzącą spokojnie przy kominku, na zewnątrz wycie wiewru, kołatanie we drzwi zabłąkanego wędrowca, a potem wspólny taniec rozgrzewający zniebnięte członki. Toż samo wrażenie sprawia symfonia pastoralna Beethovena, który wprawdzie sam protestował przeciw idei „malowniczości“ swej muzyki, niemniej jednak dał nam w andante szmer strumyka i świegot ptasząt, a Scherzo przerwał prawdziwą burzą, ilustrowaną przepysznymi.

Jednym z bardzo miłych wieczorów w Dolinie był ten, gdzie część programu — wykonaną oczywiście w sali — wypełnił koncert fortepianisty p. Melcera, który ze współudziałem wybornej orkiestry (do tych numerów prowadzonej przez p. Noskowskiego) odegrał nieznaną dotąd w Warszawie „Fantazyję polską“ Paderewskiego, oraz 4-ty koncert (c mol) St. Saënsa. Oba dzieła, będące wytworem natchnienia i kierunków ostatniej doby, sprawiły jak najlepsze wrażenie i zainteresowały tak swą treścią, jak i formą. Są to „fantazyje“, w których podkładem planu jest wprawdzie klasyczna forma sonaty, ale traktowana swobodnie i niekoniecznie wymagająca zaakrablenia i zakończenia pojedynczych ustępów. W dziele Paderewskiego, dwie główne części tytułowi odpowiadają; jest to część 2-ga, dziarski mazur, oraz część czwarta — krakowiak. Instrumentacja przejrzysta i dowcipne passażowanie pełne elegancji, uwytatniają w tych dwóch częściach typ wesołości, podczas gdy części 1-sza i 3-cia, powagę, a nawet smutek wyrażają. W całej robocie znać i doświadczonego i pełnego smaku kompozytora i wielkiego wirtuoza Pan Melcer traktował fantazyję *con brio* i ze świetną techniką, ale nierównie większe jeszcze wrażenie co do gry wywołał wykonaniem koncertu St. Saënsa, gdzie szalone trudności rytmiczne pokonywał z precyzją niepospolitą i zadziwiająco.

Wpływ dobroczynny muzyki orfeonów i wszelkich stowarzyszeń chóralnych, tylokrotnie był omawiany, że podnoszenie go oddawna stało się kumulacją. Zajęcie to i słuchaczom daje zadowolenie i społecznia. Dla tego zjazdy śpiewacze, tyle popularne za granicą, są arcy-wpływowe, gdyż wywołują konkurencję, i pozwalają jednym korzystać z doświadczenia drugich. U nas pierwszy taki zjazd odbył się dnia 3 czerwca. Zjechały się trzy „Lutnie“: warszawska, łódzka i kaliska, za inicjatywą tej ostatniej. Nie nosi ona właściwie miana „Lutni“, ale jest chórem miejscowego Towarzystwa Muzycznego, wytworzonym jako chór męzki niedawno i już cieszącym się dobrem i stosunkowo prędkim wyrobieniem. Chór ten posiada wybornego i pełnego temperamentu dyrygenta w osobie pana Horkego (czecha). Lutnia łódzka — aczkolwiek starsza, wyćwiczona już przez ś. p. Niedzielskiego, obecnie ma w panu Danyszu — znanym z długoletniego pobytu w Warszawie — dyrektora nie tyle przejętego tem-

peramentem, ile sumiennego i muzykalnego. Znać w jego pracy nad chórem zamilowanie szczegółów i dokładności, ztąd też niektóre ustępy do niemałego doprowadzone zostały wykończenia. W innych, jak np. w Krakowiakach Moniuszki, żywsze tempo i wyraźniejszy akcent byłyby pożądane.

Koncert, dany dnia 3 czerwca w Salach Redutowych, zawierał więc poczwórne popisy: każdej „Lutni“ pojedynczo, oraz wszystkich razem. Jakkolwiek prób robiono dwie tylko, mimo to falanga z przeszło dwustu osób, na jaką się złożyły trzy chóry, śpiewała zgodnie i sprawiała wrażenie imponujące. Z trzech Lutni oczywiście najwyższej stoi warszawska, szczególnie pod względem temperamentu i doświadczenia, a dodać należy, że tego wieczora jej produkcje wyjątkowo dobrze się przedstawiły. Odszpiewanie np. wybornego chóru: „Żaby“ Kotarbińskiego było znakomite. Wymowa tekstu — u wszystkich stowarzyszeń bardzo staranna, w warszawskiej „Lutni“ przedstawia jasność zupełną; cały przebieg dramatu żab, ich trwogę, nareszcie radość ze śmierci bociana, zrozumiał każdy doskonale. Pomiędzy tenorami wyróżnia się nadzwyczaj dodatnio głos p. Skowrońskiego, który jednak dla utrzymania swego stanowiska jako prowadzący, powinien koniecznie poprawić przez specjalne studia emisją nut wysokich, gdyż przez forsowanie utracić je może. Po koncercie odbył się w Resursie Obywatelskiej wspólny „kommers“, czyli uczta, która oczywiście zbratała wszystkich jeszcze bardziej, i pozostawiła po sobie nader miłe wspomnienie. Przy przemówieniach i toastach, których podnoszono nie mało, sympatycznie się przedstawiały potrójne wiwaty, każde bowiem stowarzyszenie ma oddzielną melodię na wyrazy: „niech żyje“ i każde po kolei swój wiwat śpiewało. W przemówieniach prezesa Lutni warszawskiej, p. Święcieckiego, jak zwykle pełnych swady i uroku, mniej była potrzebną wzmianka o jakowychś niby nieporozumieniach, jakie miały mieć miejsce w składzie Lutni łódzkiej. Na zarzuty, pod tym względem wystosowane do instytucji, odpowiedział bardzo słuszenie i przekonująco sekretarz tejże Lutni, i tym sposobem sprawę ku chlubie łódzianów wyjaśnił. Nie brakło i humorystycznych przemówień, w których celuje dr. Trzeński, a po części i p. Ejbelski, nie brakło i produkcji muzycznych, z których „włoska sałata“ śpiewana (w czasie podania kurcząt) przez podwójny kwartet, szczególniej dodatnio się wyróżniła. „Lutnią“ warszawską dyrygował zastępczo p. Władysław Rzepko, a portret P. Maszyńskiego, nieobecnego z powodu rekonwalescencji po chorobie — dał pochop do kilkakrotnych na cześć jego owacyj. Byłoby nader pożądane, aby projektowane i w innych miastach stowarzyszenia śpiewacze mogły jak najprędzej wejść w życie i rozwijać ten sport szlachetny i pożyteczny. Słusznie podnoszono zasługi, jakie Lutnia warszawska, a za nią inne, położyły dla pieśni rodzimej, rozpowszechniając ją i popularyzując w estetycznej formie. Skarbnica to niewyczerpana i coraz nowe dawać będzie bogactwa.

W teatrze po odjeździe Battistiniego — pusto i głucho. Ubytek tak wybitnej indywidualności artystycznej powlekl szarą mgłą atmosferę teatralną, pozostawił po sobie wrażenie pewnego sieroctwa. Niech sobie co chcą pisać o wysokiej muzykalności Warszawy, która na siedmiu przedstawieniach „Don Juana“ szczerze teatr napełniała — ja śmiem twierdzić, że i połowa tych osób nie zebrałaby się, gdyby roli tytułowej nie śpiewał Battistini. Jego ustępy solowe: „finch' han del vino“ i serenada, dwu, a nawet trzykrotnie powtarzane być musiały; był nieporównany i jako aktor, i jako śpiewak, a sympatyą naszą dla artysty wzmocnił jeszcze węzeł szacunku dla człowieka, który dał dowód niezmierniej uczynności, biorąc udział bezpłatnie nie tylko w koncercie jubileuszowym Trombiniego, ale i na wieczorze Towarzystwa Muzycznego, oraz na koncercie utalentowanego barytonisty p. Reinberga, ucznia Giustiniani'ego. A nietylko sam fakt współudziału, ale i jego sposób nas zachwycał, tyle w nim było prostoty, naturalności i — skwapliwości do nadprogramowych dodatków...

I panna Pacini pożegnała już Warszawę, do której oby jeszcze powróciła zechciała. Co do Battistiniego, zapowiadają nam już jego powrót na wrzesień, i występ w nieśpiewanym jeszcze u nas „Hamlecie“ Thomas'a. Miła to nowina, tem miłsza, że

z dobrego pochodząca źródła (o co w Warszawie trudno), a więc mająca za sobą szanse prawdziwości.

Umarł Suppé, kompozytor „Burszów“, „Fatini-cy“, „Boccacia“ i tylu innych sympatycznych dzieł lekkiej Muzy, zachwycających poprzednie i obecne pokolenie. Umarł w dobrym bycie, zapracowanym słusnie, ale, niestety, tak rzadko towarzyszącym kompozytorom instrumentalnych, zwłaszcza symfonicznych arcydzieł. Nie dziw, że teatr ma taką ponętę dla kompozytorów, skoro jedno na tem polu prawdziwe powodzenie zapewnić może autorowi byt niezależny na całe życie, dzięki rozpowszechnieniu za granicą systemowi tanytemy. Po osiągnięciu paru takich powodzeń, może już kompozytor oddać się spokojnie i z zamiłowaniem pracy, która jest już dlań sportem, ale nie koniecznością. Nie ustawał też w pracy i Suppé, który pisał do ostatka, nie ustaje w niej i Strauss, który pomimo swoich lat siedemdziesięciu, coraz nowe i piękne wytwarza melodye, dowodem czego świeżo w teatrze Nowym wystawiona jego opereta: „Jabuka“ (jabłka). Operę tą, pisaną w epoce dla autora jubileuszowej, chciał dowieść Strauss, że natchnienie w duszy jego nie ostrygło, i że jeszcze nie jedną piękną melodyę wysnuć potrafi... Nie ulega wszelako zaprzeczeniu, że zakres ten twórczości artystycznej w nader ciasnym porusza się obrębie. Najpiękniejszymi chwilami jego natchnień są walce i — tylko walce. Znajdujemy ich i w „Jabuce“ niemało, a dwa tak piękne i łatwe do uchwycenia, że i najniemuzykalniejszy słuchacz choć cząstkę ich, po wyjściu z teatru, zatrzyma w pamięci. Prawda, że do zapamiętania niemało dopomaga i ta okoliczność, że i sam autor, widocznie w swych tematach rozmiłowany, każe je powtarzać co chwila swoim śpiewakom... Ztąd, pomimo piękności tylu motywów, oraz kilku innych, wynika wrażenie pewnej monotonii, jakie wywołuje wysłuchanie całości.

Libretto, prawdę rzekłszy — nie zbyt energicznie przeciw tej monotonii walczy. Można było z ładnego ludowego motywu, coś wdzięczniejszego i dowcipniejszego ułożyć. Rzecz dzieje się w południowych Węgrzech, „na Serbach“, a zatem zwyczaj, na tle którego jest osnuta, jest zapewne słowiański. Otóż, w epoce dejrzenia jabłek, jest pewien taki dzień uroczysty, w którym zbiera się razem młodzież płci obojej, chłopcy z gałązkami dojrzałego owocu zbliżają się do upodobanych przez siebie dziewcząt. W czyje jabłko dziewczyna zanurzy swe ząbki, a potem mu je odda, ten może się już uważać za narzeczonego. Piękna Jelka (p. Czosnowska) córka bogatego wieśniaka, jedzie także z ojcem na tę uroczystość. Koło jej pękło u wozu; niepodobna jechać dalej. Zrzucony węgierski szlachcic Mirko Gradinac, ma bryczkę. Ilka o nią prosi, a raczej się jej domaga. Mirko odmawia. Na to „dumna“ dziewczyna daje mu... policzek. Nazywają ją dumną, a ona jest poprostu — gburowata. Lecz, o cudol! (to się tylko w operetkach dzieje!) po tym policzku Mirko zaczyna Jelkę — kochać! Pomimo to, chce się wprzódy — zemścić. Przebiera więc woźnego sądowego Jozzka (p. Morozowicza) w suknie jakiegoś aktora, każe mu udawać magnata, i ofiarować niby swoją bryczkę (a właściwie też samą bryczkę Mirka) i wieść ją podstępnie — nie do stolicy komitatu, ale do zamku Gradinac. Tam sala zamienia się na oberżę, zaprasza się włościan ze wsi i improwizuje obchód Jabuki. Przed tym obchodem wprowadza się podstępnie Jelkę do gabinetu kawalerskiego Mirka. Gdy się rzecz ku wielkiemu zgorszeniu innych dziewcząt wyjaśnia, nie ma niby innego sposobu naprawienia tej „hańby“, tylko — małżeństwo, na które w końcu zgadza się Jelka. Jednocześnie brat Mirka, Bazyli Gradinac, zostaje narzeczoną pięknej Anity (p. Święcka), córki bogatego fabrykanta krochmalu, której ojciec pragnie nabyć zamek Gradinac dla posiadania... antenatów, i — powtarza się śliczny kwartecik (walc) będący główną osią sztuki.

Treści więc tu mało i weale nie ożywionej; ratują ją trochę kuplety, napisane przez p. Sliwińskiego dla Morozowicza. Ale jeżeli co może zjednać „Jabuce“ czasowe powodzenie, to owe walce, póki nie osłucha się z niemi publiczność. „Jabuka“ przedstawioną jest starannie; ansamble idą zgodnie, orkiestra wzmocniona o drugi kwintet smyczkowy, brzmi lepiej; choć powinna akompaniować dyskretniej. Dekoracje, kostyummy, wszystko w porządku. Dwie główne role wyróżniają się z całości, lubo nie

mają solowych popisowych numerów — role Jelki i Mirka. Panna Czosnowska i p. Proniewicz wywiązują się z nich doskonale; pierwsza jako znana i wytrawna artystka, drugi, jako coraz lepiej się wyrabiający, uzdolniony śpiewak. *Der dritte im Bunde* jest p. Morozowicz, który z roli podrzędnej robi główną. Pani Święcka i p. Misiewicz śpiewają i grają wybornie, ale za małe mają do wyzyskania swych zdolności pole. Inne role są tylko dopełniające.

Do miłych a nie głębokich wrażeń usposabia publiczność słuchanie orkiestry włościańskiej Namysłowskiego, która w lokalu „pod Nową Gwiazdą“ gromadzi liczną i — dobrze dobraną publiczność. Orkiestra złożona z 32 osób, zaopatrzona jest w instrumenta czyste, gra zgodnie aż miło, mazurey wykonywa ze specjalną werwą. Warto w kronice muzycznej wyróżnić ten dodatni rezultat pracy człowieka, zamiłowanego w muzyce i w... ludzie, i który dzięki temu, potrafił drzemiące w tymże ludzie instynkta artystyczne rozbudzić i do czynu powołać. Obok dwóch teatrów ogródkowych, wybornie w tym sezonie prowadzonych, warto niekiedy zajść i tutaj, a przepędzi się parę chwil nader przyjemnie.

Jan Kleczyński.

Wrażenia jesienne z Japonii.

Święte miasto Kioto

przez

PIOTRA LOTI.

(STRESZCZENIE).

I.

Przed brzaskiem dnia opuściłem pokład, gdyż fregata, która mnie tu przywiozła stała na kotwicy dosyć daleko od brzegu. Czyste, chłodne niebo zasiane ostatnimi blademi gwiazdami unosiło się ponad horyzontem. Wiatr przeciwny silnie dał, i zaledwie z trudnością dozwalał mej „joli“ słoną wodą obryzgiwanej posuwać się naprzód.

O tej wczesnej porze na bulwarze było jeszcze pusto i ciemno, tu i tam snuło się tylko kilku ludzi bez celu. Droga ku stacyi kolei prowadzi przez kosmopolityczną dzielnicę szynkowni i bawaryi. Świtało, otwierano gospody, wewnątrz ukazywało się światło lamp, i rozlegały się odgłosy marsylianki, angielskich oraz amerykańskich hymnów narodowych. Zbierali się tu wszyscy marynarze na urlopie; budzono się wzajemnie, aby na pokład w porę się stawić. Po drodze spotykałem naszych, powracających z urlopu, i jak wiele panowie, rozpartych w swych Djen-richi-cha (małe jednokonne wózki przez ludzi ciągnięne). Jakkolwiek zaledwie mogli mnie poznać o brzasku dnia, przejeżdżając, zdejmowali jednak czapki przedemną.

Na stacyi sprawdzono jaknajskrupulatniej mój paszport, wyglądający prawie jak zabawka, tak był śmieśniewo pokryty gryzmołami; okazało się, że jest w zupełnym porządku i wydano mi bilet. Pociąg był prawie pusty, zajęty przeważnie pasażerami trzeciej klasy, która głównie przynosi dochód kolei. Znalazłem się zupełnie sam w moim przedziale.

Pociąg ruszył ze zwykłym sobie hałasem dzwonek, świstu i szumu pary, zupełnie tak jak we Francji i uniósł nas w dal.

II.

Przy blasku wschodzącego słońca, w pogodny jesienny poranek, przecinaliśmy świeże, urodzajne przestrzenie. Grunt doskonale był uprawiony, pola kukurydzy, ryżu i korzeni yamsu, których duże liście zdobią miejskie nasze trawniki, wszystko zieleń się. Na polach pracowało dużo ludzi. Pociąg szedł ciągle na płaszczyźnie, wzdłuż łańcucha wysokich, lasem pokrytych gór, przymknawszy trochę oczy, można było sądzić, że się jest w Europie,

w Delfinacie naprzykład i że w oddali Alpy się rysują.

W zieleni łąk rosło mnóstwo pasowych kwiatów, w rodzaju wodnych lili, o delikatnych karbowanych płatkach, wyglądających jak strusie pióra. Wszystkie kanaliki do przeprowadzenia wody, otaczające w czworobok ryżowe pola, pokryte były temi kwiatami, nadającymi im pozór obramowania z piór.

Przejeżdżaliśmy obok małych przystanków o dziwacznych nazwach, a przy stacyjnych budynkach, cysternach i maszynach ukazywały się zdumiewające stare świątynie ze swemi kulistemi dachami, świętymi drzewami, granitowemi pylonami i potworami.

Pełną sprzeczności, zastanawiającą, nieprawdopodobną wydaje się ta Japonia ze swym zastojem, trwającym piętnaście lub dwadzieścia wieków, i nagłym upodobaniem do wszystkiego co nowe, upodobaniem, które ją w nieustanny wir wtrąciło.

W pierwszym większym mieście napotkanem po drodze, w Osaka, zatrzymaliśmy się. Stare to handlowe miasto, posiadające niewiele świątyń, poprzeczynane prostemi, prostokątnie przeprowadzonymi ulicami, oraz kanałami jak w Wenecji; w licznych bazarach nagromadzone są towary z brązu i porcelany: istne mrowisko w ruchu.

Pomiędzy Osaka i Kioto rozlegają się także same zieleniejące przestrzenie, także same dobrze uprawne pola, i łańcuchy zadrzewionych gór. Wiodą jednostajny, usypiający.

Na przedostajnej stacyi wsiadła do mego przedziału, kłaniając się powabnie, niemłoda już kobieta z wyższej sfery, wyglądająca jak wycięta figurka z pomalowanego ściennego parasola. Zęby czarno polakierowane, brwi starannie ogolone, jedwabna brązowa suknia w deseń przedstawiający bociany, olbrzymie szylkretowe szpilki wpięte w rzadkich włosach, słowem Japonka. Po kilku uprzejmych słowach, zamienionych z nią po japońsku, zasnąłem.

III.

Kioto! Niemłoda towarzysza moja zbudziła mnie, uderzając z uśmiechem po kolanie.

„Okini arigato; okami-san!“ (Mocno obowiązany pani); i wyskoczyłem z wagonu, cokolwiek zdumiony tem obudzeniem.

Cała gromada Djen-richi-san (ludzie ciągnący wózki), rzuciła się na mnie. Ponieważ między tłumem wysiadających ja jeden byłem ubrany po europejsku, wszyscy wzięli mnie za cel swych zabiegów. (Na pokładzie nazywali ich poprostu „djen; jest to krótsze i stosowniejsze miano dla owych piechurów, jak dyabły szybko biegnących).

Kłócono się i popychano dla zaszczytu wzięcia mnie. Boże mój! mnie było przecieć wszystko jedno, nie dawałem żadnemu pierwszeństwa, lecz wskoczyłem do pierwszego lepszego wózka. Pięciu djinów przybiegło, aby się zaprzadź przedemną i po bokach, oraz pętać z tyłu. O nie! na to się nie zgodziłem, dwóch było mi dosyć. Musiałem jednak długo przemawiać i udawać, że wpadam w gniew, aby się od reszty oswobodzić. Wreszcie porozumieliśmy się; jeden djin został w hołoblach, drugi na przodzie, zaprzężony w długi pas białego materiału; pojechaliśmy jak gdyby pchani wiatrem.

Co za olbrzymie miasto owe Kioto, zajmujące ze swemi parkami, pałacami, pagodami, prawie taką przestrzeń jak Paryż! Jest całe zbudowane na równinie, lecz ze wszystkich stron górami otoczone, co mu nadaje cechę tajemniczości.

Jechaliśmy i jechali wśród sieci ulic, o małych niskich, czarnych drewnianych domkach, nadających cechę zaniedbanego miasta. Była to w istocie dawna Japonia, z którą nie stało w sprzeczności: Ja tylko spałem tu, i oglądano mnie z ciekawością.

Ah! ah! hi! ho! Wykrzykiwali djinowie jak zwierzęta, popędzając się wzajemnie i torując sobie drogę wśród tłumu. Niebezpiecznym jest ten rodzaj jazdy w małych, nadzwyczaj lekkich wózekkach zaprzężonych ludźmi, pędzącymi z całych sił swoich. Wózek skacze po kamieniach, pochyla się na bok przy raptownych zakrętach drogi, zaczepia się o ludzi i przedmioty, lub przewraca je. W bardzo

szerokiej alei przepływał bieżący strumień, ograniczony dwoma spadzistymi brzegami; przejeżdżaliśmy tuż obok wyciągniętym kłusem. Co chwila zdawało mi się że wpadamy w przepaść.

Po półgodzinnym szalonym, biegu, przybyliśmy do hotelu Yaami, adres którego podałem moim dyynom. Był to prawdziwy, nowy zupełnie hotel, urządzony przez Japończyka na sposób angielski, aby ściągnąć do siebie łaskawych podróżnych przybyłych z zachodu. Chcąc posilić się cokolwiek, do tego hotelu udać się należy, gdyż kuchnia japońska zdaje się służyć tylko za zabawkę.

Hotel wznosił się na wysokości około pięćdziesięciu metrów, w uroczym położeniu, w górach otaczających miasto, w ogrodach, wśród drzew.

Małe schodki, oraz piaskiem wysypane ścieżki, obramowane muszlami i kwiatami, prowadziły w górę; wszystko zanadto ładne, zanadto wykończone, lecz przyjemne i świeże.

Gospodarz w długiej niebieskiej sukni, przyjął mnie w przedsionku z pokłonami bez końca. Wewnątrz hotelu wszystko było nowe, przestronne, czyste, wykwiłtne: delikatne, białe wyłożenie ścian taflami, doskonałej roboty. Przyniesiono mi do pokoju tyle czystej wody, wiele tylko mogłem potrzebować do mycia, odbywanego zupełnie jawnie, gdyż tak gospodarz, jak kelner i pokojówki, zeszli się dopomagać mi i przypatrywać się; okna mego pokoju, wychodziły na ogród sąsiedniego domu, a dwie Japonki, używające przechadzki po miniaturowych alejach zatrzymały się, i również przyglądały mi się ciekawie.

Po lekkiej przekąsce z herbatą i tartinkami, po angielsku przyrządzonej, kazałem przyprowadzić moich dwóch djinów, zgodzonych za zwykłą cenę siedmiesięciu pięciu sous dziennie, za co obowiązkiem ich było od rana do wieczora biegać według moich życzeń, lub też bez wytechnienia i niechęci ciągnąć mój wózek.

Te jazdy w „djinie,“ należą do niezatartych wspomnień dni przepędzonych w Kioto, gdzie śpieszyć się trzeba, by wszystko widzieć i wszystko spełnić. Wózek skacze z toru na tor, niesie dwa razy prędkiej jak koń jadący truchtem, przesuwając się wśród tłumów, przejeżdża przez małe, zapadające się ścieżki, przebiega puste samotne części miasta, a niekiedy nawet schodki w górę i na dół, przy czym na każdym stopniu, hop, hop, hop, jadący podskakuje na swem siedzeniu jak piłka. Wieczorem doznaje się jak gdyby oszołomienia, i przed oczami przesuwa się widziane w dzień przedmioty, jak gdyby w szybko poruszonym kalejdoskopie, którego zmienne obrazy nużą.

Jakże nierówne, pełne zmian, dziwne jest to Kioto!

Ulice pełne zgiełku, djinów, przechodniów, handlarzy, reklam pstro pomalowanych, wstęp niezmiernie długości, powiewających w przestrzeni. Przejżdżamy kolejno, to wśród zgiełku i hałasu, to znów wśród cisy opuszczonej rzeczy, wśród gruzów zamarłej przeszłości. Tu widzi się grę barw nagromadzonych materiałów i porcelany, tam zbliżamy się znów ku wielkim świątyniom, obok których już tylko handlarze z figurami bożyszczy, otwierają swoje sklepy, zapełnione najdziwniejszymi posągami, lub też wchodzimy zdumieni w bambusowy gaj, o dziwnie długich, gęsto rosnących, cienkich pniach, pod którym człowiek wygląda, jak te małe owady, łączące w Czerweu pod delikatnymi łodygami naszych zbóż na polach.

A co za niezwykle pobożne Kafarnaum, co za olbrzymia świętość cześć bożków jest owo Kioto starych cesarzów! Trzy tysiące świątyni, poświęconych różnym bożkom, boginiom i zwierzętom, kryje w sobie niezliczone bogactwa. Puste, milczące pałace, w których bosami nogami przechodzi się całe szeregi sal wyłożonych złotą lakką, ozdobionych w sposób dziwny i wymyślny, odrębny. Święte gaje o stuletnich drzewach, poprzerzynane cienistymi alejami, w których stoi cały legion granitowych, marmurowych i brązowych potworów.

IV.

Aby ujrzeć całość z góry w jasnym oświetleniu porannem, wszedłem o dziewiątej godzinie na wie-

żę, jak niegdyś lady Marlborough; była to wieża Yasaka, podobna do tych pagód o kilku piętrach, które widzimy na grzbietach słońca z brązu, i gdzie Chińczycy według zwyczaju palą swe kadzidła. Najniższe piętro zajęte było na świątynię, stały tam złożone, przez czas i pył zniszczone posągi Buddy, latarnie, święte wazy z bukietami kwiatów lotosu.

Dwie stare kobiety stojące na straży, zażądały odemnie jako zapłatę za wejście jednego sou, naturalnie nipońską monetą z wyobrażeniem chryzantemy i potworu; otrzyawszy go, odezwały się z uprzejmym ukłonem: „Możesz iść na górę bez asystencyi, ufamy ci—oto otwór służący za wejście.“

Szczęśliwy, że znalazłem się sam, zacząłem wdrapywać się na strome stopnie schodów, których bambusowa poręcz wypolerowała się z czasem zupełnie od dotknięcia rąk ludzkich. Wieża jak wszystkie prawie japońskie budowle wzniesiona była z drzewa, a na odwiecznych belkach napisy chińskim atramentem skreślone pokrywały je literalnie od góry do dołu; są to prawdopodobnie myśli zwiedzających; żałowałem niezmiernie, że ich wyczytać nie mogłem, znalazłyby się zapewne między niemi bardzo cenne.

Na najwyższym piętrze stało w kącie pudło z wyobrażeniem Buddy. Otworzyłem je, aby się przyrzec bożkowi, który je zamieszkiwał. Posąg z tajemniczym uśmiechem na twarzy wydał mi się ogromnie dawny i bliski ruiny, a gruba warstwa kurzu pokrywała go.

Z tej samej galerii, rozlegał się szeroki widok na olbrzymie miasto, rozrzucone jak mrowisko na płaszczyźnie, z otaczającym go wokoło łańcuchem gór zdobnych czarowną zielenią sosnowych i bambusowych lasów. Na pierwszy rzut oka, robiło ono złudzenie europejskiego miasta: miliony małych dachów, krytych ciemnoszarą cegłą, przypominały nasze północne miasta; tu i owdzie proste ulice odznaczały jaśniejsze linie na tem tle szarawem.

Pomimowoli oko szuka wież i kościołów, lecz tych niema ani śladu, za to doznaje się nieznanego: nieoczekiwanych wrażeń, na widok tych wysokich monumentalnych dachów, zbyt ciężkich i dziwnie kulistych, wznoszących się pośród niskich domków. Są to pałace i pagody. Żaden odgłos nie dochodził do mnie od st. ony świętego miasta; z góry wydawało się ono zupełnie zamarłe. Piękne, spokojne słońce oświecało je, a powiewna mgła jesienno-poranku, unosiła się jak zasłona po nad niem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— Obywatelka honorowa miasta Petersburga, S. P. Horbowa, ofiarowała 50,000 rs., na zbudowanie w Moskwie domu pracy, a 25,000 rs., na kapitał żelazny dla utrzymania instytucyi.

— Moskiewskie Towarzystwo rolnicze, urządź ma kilka wystaw inwentarza i zwierząt domowych, w których kobiety wezmą udział znaczny. Na wystawie powszechnej w Niższym Nowogrodzie w oddziale drobiu i zwierząt domowych, jest już zapisanych wystawczyń kilkadziesiąt; znajduje się również zapisanych liczba duża w oddziale wyrobów ręcznych, szczególnie przedzenia i tkanwa ręcznego.

— Między osobami, które miłosiernie uczestniczą w Brześciu Litewskim w pracy wspomaganie ubogich pogorzalców, mieszczą się licznie panie, a między niemi p. Józefa Tworowska zajmuje się rozdawaniem chleba i w ogóle żywności w kuchni chrześcijańskiej. Panie wyznania mojżeszowego, rozwinęły również bardzo gorliwie akcyą miłosierdną, rozwołując żywność po barakach, w których mieszczą się ich współwyznawcy. Odzież, przysyłaną za pośrednictwem „Kuryera Warszawskiego,“ rozdzielono między 230 osób, czem zajmowały się przy pomocy p. p. Jagodzińskiego i Soroki p. p. Sienkiewiczowa, Hładkowa, Stawicka, Kramerowa, Pauczowa, Szelegowska. W dalszym ciągu zbierania

ofiarniczych datków na pogorzalców wzięły udział p. p. Piotrowska, Szawłowska, Beneńska, Chabnowska, Paszyńska, Szumańska, Borman Marya, Borman Regina, Kamila Pik, Helena H., Jadwiga Norblinowa, Emilia Blochowa (500 rs.) Irena Karłowiczowa, Irenka K. Aleksandrowa Ginsowa, Joanna Breze, Ludwika R., Klaudia i Apolonia T., Wincetyna Korzeniowska, Helena Mokijowska, Marya Gutowska, Ludwika Marchesson.

— Na pogorzalców Kobrynia, Różany i Koprzywnicy złożyły ofiary swoje p. p. Jadwiga i Bronisława Kuczynskie, Chór żeński opery warszawskiej, Marya Günzburg, Maryanna Kempke, Marya H, Aniela i Róża C, Anastazyja Bosko, Jadzia C., Zosia F., Jadzia i Janinka P., Eleonora K., Anna K. Obok tego, było tu przesłanych bezimiennie wiele paczek od pań dobrego serca, od dziewczątek młodych.

— Po odbytych popisach w szkole malowania dla kobiet p. Alicyi Nowińskiej, urządzona została wystawa kilkodniowa prac uczennic, składająca się tak z dzieł sztuki czystej, jak też i stosowanej do przemysłu.

— Z funduszu s. p. Emilii Matyaskowej, zapisanego na rzecz pomocy potrzebujących tego muzyków, ich wdów i sierot, komitet Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów muzycznych, udzielił dwóm wdowom po 25 rs. i jednej sierocie 15 rs. Stałą zaś pensją emerytalną, przyznano pięciu członkom Towarzystwa.

— Z ramienia War. Towarzystwa dobroczynności p. Lucyanowa Wrotnowska została opiekunką domu zarobkowego na Pradze, hr. Gustawowa Łubińska opiekunką taniej kuchni na Pradze, hr. Róża Raczyńska opiekunką przytulku noclegowego na Pradze.

— Komitet pań, rozpościerających opiekę nad ochroną katolickich dzieci w Piotrkowie, wysłał staraniem swoim dwadzieścia słabowitych dziewcząt na kąpiele do Ciechocinka.

— Pierwsze w Galicyi gimnazjum żeńskie, ma powstać we Lwowie staraniem Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, którego prezes, D-r Piątek, wyraził na zebraniu Towarzystwa zdanie, iż ułatwienie kobietom nabycia wyższego wykształcenia jest potrzebą cywilizacyjną. Organizacya i plan tegoż gimnazjum odmienne będą przecież od ustroju gimnazjum męskiego na zasadzie, że uwzględnionemi tu być powinny duchowe i fizyczne właściwości natury kobiecej.

— Młoda malarka czeska, Józefa Swoboda, mieszkająca w Pradze, zyskała takie uznanie talentu swego, jako portrecistka, że królowa Wiktorya zachciała posiadać portret swój dokonany jej pędzlem, akwarelą. Królowa życzy sobie, aby artystka ta sportretowała także osoby należące do jej rodziny i bliższego jej otoczenia.

— Kobiety niemieckie zwołały zjazd ich ogólny do Monachium dla narady nad zagadnieniami tak udziału kobiety w życiu społecznym, jak i w rodzinie. Wzorem były tu Zjednoczone Stany Ameryki północnej, gdzie 700,000 kobiet, utworzyło związek mający na celu uregulowanie pojęć tak o ich obowiązkach, jak i działalności ich wśród narodu, którego połowę tworzą. Augusta Schmidt Saksonka mieszkająca w Dreźnie, stanęła tu na czele; liczba stowarzyszonych przechodzi 35,000 kobiet, podzielonych na 30 stowarzyszeń z celem poznania i wykonania tak obowiązków, oraz pracy, przypadającej na dział kobiety i zadań jej stanowiska wśród narodu swego. Na zjeździe w Monachium podniesiono bardzo konsekwentnie i rozumnie pojęty zamiar opieki kobiecej nad robotnicami fabrycznymi i ustanowienia dla nich inspektorów fabrycznych z celem takim pilnowania ich interesów, jak to spełniają dla robotników inspektorowie. Powinno tak być szczególnie w fabrykach, gdzie liczba kobiet jest znaczna, często przewyższająca liczbę mężczyzn.

— Istniejące w Berlinie stowarzyszenie z celem utrzymania zakładu, któryby gromadził pod skrzydła swej opieki tak młode dziewczęta, kształcące się do jakiejś pracy zarobkowej, jak i wiekowe już, spracowane kobiety, liczy 76 członków, których staraniem, a w znacznej części i kosztem zakład się utrzymuje. Wiekowe pensyonarki zakładu są jednak zajęte pracą jakąś nie mozolną, przecież choć cokolwiek zysku przynoszącą i dającą zarazem jakieś zajęcie, aby życie ich nie było czelem i pu-

stem. Ludwika Lehman, panna doletnia stoi tu na czele. Posiadająca kapitał, zabezpieczając jej wygodne życie, włożyła go w zakład, którego jest dożywną naczelniczką i niejedna samotna kobieta w jej położeniu powinna by z przykładu tego korzystać.

— Wieczorna szkoła robót kobiecych została otwarta w Chemnitz z tą myślą, aby tak kobiety jak i dziewczęta młode, zajęte obowiązkową pracą przez dzień cały, mogły tu uczyć się i kształcić się w pewnych gałęziach robót, jak w krawieczyźnie, w wyrobie maszynowym pończoch i tym podobnych przedmiotach pracy. Opłata miesięczna jest 60 fenigów, za co otrzymuje już uczennica bezpłatnie wszelkie do pracy potrzebne przybory. Liczba uczennic jest od 200 do 250, a tygodniowo połowę ich najmniej przebywa w zakładzie od pół do ósmej do pół do dziesiątej wieczorem.

— We Włoszech na 11,292,000 kobiet jest według najświeższego spisu 2,000,000 pracujących w przemyśle, a 3,000,000 w gospodarstwie wiejskiem. Wszystkie przedsiębiorstwa są przeważnie obsługiwane przez kobiety; w fabrykach wyrobów jedwabnych obok 117,000 kobiet pracuje 17,000 mężczyzn, na 40,000 dzieci zajętych tu jest 38,000 dziewcząt, a tylko 2,000 chłopców. Ogółem we wszystkich zakładach przemysłu mieści się więcej dziewcząt, niż chłopców i według ostatnich spisów statystycznych pracuje w fabrykach 47,000 dziewcząt, a 22,700 chłopców.

— Miss Elżbieta Dawes jest pierwszą kobietą w Anglii, która otrzymała na uniwersytecie londyńskim godność doktora literatury, a fakt ten uwyraźnił się jeszcze przez to właśnie, że miss Dawes była prezentowaną uniwersytetowi przez D-r Weymouth, który przed dwudziestu siedmiu laty podniósł pierwszy głos, żądający dla kobiet studi uniwersyteckich.

— Wystawa przedmiotów żywności i gotowania w zakresie kuchni wytwornej, w zakresie kuchni rodzin średniego stanu, oraz kuchni ludu, urządzona w Londynie, zgromadziła wielką liczbę przedmiotów wystawowych. Księżna Abercorn rozdawała nagrody, a znajdowały się tu i wystawczynie młodziuchne, nie liczące więcej nad lat dziesięć, jedenaście. Jedną z takich, Ellen Dawitt, otrzymała nagrodę, przedstawiającą 10 gwinei.

— Kobiety angielskie zawiązały komitet wsparcia dla dotkniętych klęską nędzy kobiet i dzieci armeńskich. Prezydentka komitetu M-rs Marion Lee, rozpisała odezwę do kobiet Anglii, Szkocji i Irlandyi prosząc o zawiązywanie komitetów takich na prowincjach. M-rs Lee zakończyła odezwę swoją temi słowy: „Gdzie tylko jest boleść i niedola, tam kobieta stawać powinna do pomocy. To missya jej jest wśród ludzkości, którą uwidoczniła już jej natura. Bóg dla tego stworzył ją tkliwszą i silniej się wzruszającą niż mężczyzna na widok bólu, cierpienia, aby goiła rany i spełniała dzieła miłosierdzia.“

— Miss Chadwick, córka angielskiego pastora, udała się jako misyonarka do Ugandy, pierwsza biała kobieta, która przeniknęła, aż tam. Jest ona zarazem i wykwalifikowaną doktorką medycyny i niewątpliwie zdziałała tam niemało dobrego. Lecząc cierpienia, ratując ludzi od śmierci, pozyskała sobie ich zaufanie, a wtedy stanie się lekarką i ich dusz, podnosząc je ku wyższemu pojęciu istoty boskiej, podniesie zarazem myślą ku niebu. Królowa Wiktorya napisała do niej list i za powrotem do kraju obdarzy ją zapewne jakimś odznaczeniem zaszczytnym, nie trzeba przecież koniecznie jechać do Ugandy, aby zyskać sobie taką zasługę przeniknięcia światłem z nieba bijącym umysłów ciemnych, wzruszenia w piersiach dusz, zapadłych w martwość poziomego życia przy ziemi. Każda doktorka na wsi od miast odległej, na wsi rozkolonizowanej

między lud prosty, może pełnić takie dzieło miłości bliźniego.

— Kobiety norweską złożyły darem dobrowolnym 600,000 marek na zakup krzyżowca torpedowego, przeznaczonego do obrony brzegów Norwegii.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że główny zarząd poczt i telegrafów opracował projekt przesyłania przekazów pieniężnych pocztą i telegrafem. Na początek postanowiono przekazy te wprowadzać tylko pomiędzy instytucje pocztowo-telegraficzne, znajdujące się w Petersburgu, Moskwie, oraz w miastach gubernialnych i powiatowych, przyczem sumę przekazu ograniczono do 100 rs. Za przekaz pocztowy pobierana będzie opłata a także i przy przesyłce depechy.

— Według ustawy stemplowej poprzedniego wydania z 1893 r., akta kupna i sprzedaży nowozbudowanych domów w miastach, miasteczkach i osadach skarbowych są zwolnione od podatku przy przejściu prawa własności; przywilej ten służy wyłącznie w razie sprzedaży domów murowanych w przeciągu lat czterech, oraz murowanych z drewnianem przybudowaniem w ciągu lat trzech; drewnianych bez fundamentu w ciągu lat dwóch od daty rozpoczęcia budowy.

— Piszą z Petersburga, że minister komunikacji wyjechał dla obejrzenia budującej się kolei syberyjskiej.

— W kościele Wszystkich Świętych na Grzybowie odbył się akt uroczysty poświęcenia pierwszej chorągwi zgromadzenia towarzyszyw introligatorskich. Chorągiew to jest bardzo piękna, z adamaszku ciemno-purpurowego ma narożniki haftowane złotem a w pośrodku obraz S-go Jana, wykonany także haftem ręcznym. Na drugiej obok napisu: „Bóg nadzieja nasza,“ widnieje księga jako godło cechu.

— W d. 9 i 10 miesiąca naszego przeciągały przez Warszawę kompanie powracające z Częstochowy. Niektóre były z miejsc już odległych, jak z Suwałk, ze Stanisławowa w powiecie nowomińskim.

— Warszawskie Towarzystwo sztuk pięknych ogłasza konkurs na dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa. Kwalifikują się tu prace wykonane w ciągu ostatnich lat trzech, a nie znajdujące się na żadnej z wystaw warszawskich. Osoby chcące wziąć udział w konkursie powinny nadesłać deklaracje w formie listu, wymieniając treść dzieła a zarazem podać wiadomość miejsca pobytu kandydata, oraz szkoły w której się kształcił na artystę, wre-

szcie datę urodzenia. Dzieła przeznaczone na konkurs powinny być nadesłane do lokalu Towarzystwa najpóźniej w d. 31 Grudnia, do 6-ej godziny wieczorem. Nagród jest trzy: pierwsza 600 rs., druga 300 rs., trzecia 200 rs. Oprócz tych nagród w pieniądzu przyznawane będą listy pochwalne. Towarzystwo przyjmuje na siebie koszty przesyłki do wysokości 10 pudów wagi brutto oraz cła, wyliczając opłatę celną od rzeźb z brązu. Kancelarya wysyła na żądanie drukowane egzemplarze regulaminu, objaśniające co do warunków konkursu.

— Komisje wystawy wyrobów metalowych obradowały nad porządkiem przyjmowania nadsyłanych na wystawę przedmiotów z blachy, wliczając tu i galanterie, oraz przedmioty artystyczne, zabawki dziecinne, dalej narzędzia i przybory straży ogniowej.

— W dniu 11. b. m. miało miejsce zebranie członków „Lutni“ warszawskiej, na którym odczytano sprawozdanie z czynności tej instytucji. W ciągu lat ośmiu urządziła „Lutnia“ 88 koncertów własnych, co przedstawia przeciętnie po jedenaście koncertów rocznie. Liczba członków czynnych obejmuje 142 osób, dzielących się na głosy tenorowe, barytonowe i basowe; członków rzeczywistych ma ta instytucja 437. Majątek „Lutni“ przedstawia 8,798 rs., a dodać należy, iż w roku sprawozdawczym przybyło tu 1630 rs.

— Na uroczystość Zielonych Świątek przybyło do Częstochowy niemal ze wszystkich stron kraju 99 kompanij, obejmujących 25,451 pątników. Razem ze wszystkimi, którzy się tu zapragnęli modlić w dniu tym uroczystym, było przeszło 50,000 osób, w pośród których znajdowali się i cudzoziemcy. Z wybitniejszych byli: książę Albieri z Rzymu, książdz Luizzani z Reims (we Francji), ks. Ossowski z Manchesteru.

— Towarzystwo imienia Matejki w Krakowie odbyło pierwsze swe posiedzenie w d. 5 b. m. w sali miejskiej, pod przewodnictwem prof. Maryana Sokółowskiego, prezesa Towarzystwa. Towarzystwo posiada w gotówce 20,111 złr., obok 4,755 złr. w papierach. Wydział krajowy ma tu dodać jako zasilek 10,000 złr. na zakupienie pozostałych po zmarłym mistrzu dekoracji i kostyumów. Przecież Towarzystwo będzie musiało zaciągnąć pożyczkę, ponieważ cena domu przedstawia 35,000 złr., a potrzeba obok tego wkładów znacznych na przerobienie domu na Muzeum. Na ostatniem posiedzeniu znajdował się dyrektor szkoły sztuk pięknych we Lwowie, Julian Fałat.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römpera. Przekład z niemieckiego, ark. 8 i 9.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Ada Negri, przez M. Hlnięką (z drzeworytem). — W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Wrażenia jesienne w Japonii. Święte miasto Kioto, przez Piotra Loti. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Co jest szczęście? powieść przez Aleksandra Römpera, przekład z niemieckiego ark. 8 i 9. — Przegląd mód. 38 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozyca stołu.